

## Stan nieWażkości Prolog

W dniu, w którym stracił wzrok, Jezuchryst przejrzał na oczy.

A to było tak:

Wpierw zatrzasnęły się za nim drzwi do piwnicy, wygłuszając Apokalipsę, która szalała na zewnątrz; następnie panika ucapiała go za kołnierz i pchnęła w przód, nogi mu się splątały, potknęły się o próg nadziei i ciało jego potoczyło się w dół  
po stopniach

na łeb, na szyję!

Pyku-pyk, pyku-pyk – karabin rozpadł się na części, a jego duma rwąta się wraz z guzikami od munduru. Staczał się niżej

coraz niżej,

mijając kolejne kręgi Piekieł.

Tu mu diabli machali, ręce zacierali – a tam potępieńcy głowami kiwali. Jedynie gnuśni nie zaprzętały sobie nim głowy, bo im to zawsze wszystko jedno, ale już Sokrates na przykład cykutą się zakrzusił, a Cezar z przestrachu poślizgnął się w kałuży własnej krwi (aż mu się wieniec cierniowy na czole przekrzywił).

Płaczem powitał Jezuchrysta chór dzieci nieochrzczonych i przekleństwa skąpców, którym przez to całe zamieszanie pomieszały się rachunki.

– A co mu się tak spieszy? – pytali leniwi w smolnych kadziach.

– Po nic – odpowiadali nihiliści zwieszani do góry nogami.

– To się źle skończy – dodawali pesymiści, wyciągając na chwilę głowy z zadków.

– Na dnie Piekła – przepowiadali wróżbici z oczami wywróconymi do wewnątrz.

– Iiii, Piekła nie ma – poprawiali heretycy płonący na stosach.

– Właśnie, że jest! – krzyczeli siewcy niezgody szarpani przez sępy.

– A żeby was wszystkich! – kwitowali gniewni.

Tymczasem – pyku-pyk, pyku-pyk – Jezuchryst toczył się coraz niżej po stopniach ciągnących brzegiem wzburzonego Flegetonu, rzeki wrzącej krwi, z której wynurzały się ciekawskie dusze tyranów i morderców. Centaury waliły po tych czerepach grzesznych, ale co zatopiły Bismarcka, to się zaraz inny wynurzał Hun Attyła.

Jezuchryst nie zważał jednak na owe sceny dantejskie, gdyż staczał się co sił, bez sił i coraz to prędzej, poprzez las samobójców, w którym drzewa szumiały smutną pieśnią:

*Tyś coś żyw hyzopu gałązkę chwyć  
Nadziej nań octu gąbkę, daj nam pić.  
Bo nam w żyłach śmierć sucha pływa  
I żywica na ustach nam zastęga.*

A refren szedł tak:

*Ał, ojej, uch, ajaj*  
*Łojezu! Paszła jedna! Bez jaj!*

Bo im korę szarpały piekielne harpie.

A Jezuchryst – pyku-pyk, pyku-pyk – lędźwie odbijał sobie już po stopniach trzeciego jaru siódmego kręgu, gdzie to sodomici zakuci w przepaski syryjskie<sup>1</sup>, szukali doń kluczy w diablích odbytach; astrologowie zaś z gwiazd upadłych próbowali wyliczyć, ile im jeszcze lat cierpienia pozostało z wieczności. Takie to cuda działy się w tych kręgach i niejeden z nas pewno by się zatrzymał, popatrzał, po głowie podrapał. Ale Jezuchryst toczył się dalej mimo nich, aż wreszcie

wyrznął

łupnął

tele-mele

BĘCI!

...

...

...

Cisza ogarnęła go nieprzeparta, zatkała mu uszy, a mrok wziął go w objęcia jak Czarna Madonna. Oddał się jej bez słowa niczym zdjęty z krzyża; krew spłynęła mu po czole. Resztką sił wsadził kciuk w usta, westchnął tylko i przestał istnieć.

...

...

Na chwilkę.

...

...

Jedno okamgnienie.

...

Inaczej nie byłoby tej opowieści.

...

Rzeczywistość obolałych kości i obitych lędźwi wróciła go do życia. Serce ruszyło z wielką pompą i krew popłynęła arteriami, budząc z letargu odrętwiałe ciało. Jezuchryst nabrał rumieńców, skulił się. Na nowo odkrywał każde ścięgno, każdy mięsień swego ciała. Nie dane mu jednak było delektować się tą wiedzą zbyt długo. Zbutwiałe półki, które rozchwieyrułał niekontrolowaną katabazą, zachwiały się, strącając weki, które na nich stały od lat, a te, uderzywszy w nieuchronność podłogi, rozpadały się na kawałki. Szklane ostrza pocięty go jak żyłki. Przez myśl mu przemknęło, że krew go zalała ciepłą, lepłą mazią. Kiedy jednak się obliznął, poczuł nieomylny smak powideł, które w dzieciństwie przyprowadził wspomnieniami, a które wracały teraz do niego tysiącami wrażeń, rzucając światło na jego ślepotę: jagodowy konkret Ojcowskiej dłoni; morelowe

---

<sup>1</sup> Zwane również „pasami cnoty”, jako że swymi ostrzami wokół otworów niesfornych broniły ciała zarówno przed moralnym zepsuciem, jak i higieną intymną.

piersi Kaliny, wynurzające się z Bugu jak dwie słoneczne tarcze; porzeczkowe włosy jego Matki, które Jezuchryst żuł z zaufaniem niczym kromkę ciepłego chleba; agrestowo-niepokojący dotyk tych wszystkich wiedźm, które napotkał w swoim życiu – od szorstkiego palucha Szeptuchy, przez włoskowate uda Horpyny-Wilczycy, aż po kwaśne objęcia Róży; i wreszcie codziennie-jabłkowe powidła losów ludzi, z którymi Jezuchryst zetknął się na Dzikich Polach.

Setki smaków przeszłości wyptukało go z niebytu, tęsknotą wypełniło każdy zakątek jego duszy. Aż mu tzy pocięły za tym wszystkim, co minęło. Na krótką, błogosławioną chwilę powrócił do krainy dzieciństwa. Korowód wspomnień ułożył się w melodię, którą doskonale znał – chwójny dźwięk brzoźowych skrzypek. Subtelność i czystość muzyki, wypełniającej go po brzegi, uświadomiła mu, jak pusty jest w środku.

Chocholą kołysankę przerwał jęk zmarłego powstałego z martwych. Jezuchryst przesunął ręką po szklach. Szukał kawałka szkła na tyle dużego, żeby się nim obronić, ale zamarł, kiedy poczuł na karku chłodny dech rozkładu:

– Szukasz czego? – spytał truposz, chociaż dobrze znał odpowiedź.



Tu zamilkł dziad, popatrzał na Anglików i pociągnął z kufła nieco stoutu, a gęsta pianka ściekała mu po wąsach.

– Nie ma to jak odrobina porządnego czarnego towaru.

Ye *Old Cheshire Cheese* pękało w szwach i nie tylko dlatego, że tynk się sypał, a belki nośne wyginały się od starości. Ludzie zbili się tu ciasno i strzygli uszami. A to nie bez kozery. Czas wyszedł z formy i pęczniał z każdym dniem. W całym Londynie prasy drukarskie przegrzewały się i psuły, a dziennikarze łamali pióra, bo sensacyjne wieści płynęły wartkim strumieniem. Cała Europa krztusiła się i pluła krwią. Zdawało się, że stary świat zmierchał, a Bóg ustąpił przed mocą tytanów. Wieża Eiffela dawno już wygięta się w *hakencreuz*, a królowa Wilhelmina opuściwszy Holandię, siedziała na garnuszku u króla Jerzego. Tymczasem w Polsce opuszczonej przez sojuszników i rozerwanej na strzępy przez dwóch bandytów składano ofiary z ludzi na rzecz nowych bogów.

Anglia również powoli zaczynała odczuwać skutki uspokajania diabła. Neville Chamberlain przewrócił się w szpitalu na drugi bok, Sudety odbijały mu się czkawką, tymczasem Churchill kopcił cygara jedno za drugim.

Słońce przestało świecić nad Wyspą Szczęśliwą, bo też i niebo poczerniało od samolotów. Orzeł zaatakował. Lecz asy przestworzy rwały mu pióra. Waliły się w gruzy fabryki i lotniska, ale duch nie upadał. Piloci Dywizjonu 303 rysowali kredą liczbę zestrzelonych Adolfów na swoich Huraganach, ale wojna daleka była od zakończenia.

Rok był 1940.

Londyńczycy tłoczyli się w pubach i kawiarniach, by dzielić się wieściami, ale Stary Ser był wyjątkowy. Opowieści sączyły się tu bowiem z wilgotnych paneli, wisiały w powietrzu wraz z budyniowym światłem, patrzyły z oczu barmana, taplały się w piance starego

portera i topiły w walijskim rarebicie, którym zajadali się dżentelmeni z podkręcanymi wąsami, a przed laty również Dickens. Tutaj wszak sir Conan Doyle pykał swoją fajkę, wydychając z dymem kolejne przygody Sherlocka Holmesa; tutaj też Mark Twain dłubał w bucie i ręce łatał nad bezsenssem wszystkiego i parszywością natury ludzkiej, ilekroć ktoś mu zaglądał do kufła.

Tutaj też zająztał dziad ślepy z dalekiego kraju, hen z okupowanej Polski. Ubrany w skórzaną kurtkę, wsparty na drewnianej lasce; przez pierś przewieszoną miał lirę korbową. Wszedł, ukłonił się, nikt na niego nie zważał. Dopiero gdy zakręcił korbką i zaśpiewał smętnie o miłości, Angliki nadstawili uszu.

– Masz, stary człowieku – powiedział jeden z połamanyimi zębami, stawiając przed nim kufel ciemnego piwa. – Pij na zdrowie i bajaj.

Ten uśmiechnął się i prawie zaczął o Jezuchryście. A wszystkim ciekawość kapata z nosów, więc gdy zamilkł, pociągnął z kufła nieco stoutu i gęsta pianka ściekła mu po wąsach i gdy potem powiedział, że

– Nie ma to jak odrobina porządnego czarnego towaru,  
to wszyscy spijali mu z ust.

## **ROZDZIAŁ 1**

### **Jesień**

Chcecie słuchać dalej? Bóg dał wam gęby do gadania, to zamknijta się i słuchajta! Nie będzie tu wiele o bohaterach. Ja nie Homer, chociaż też ślepy, ale nie dumny jak on. Nie będzie tu Achillów maczanych za piętę w Styksie, odpornych na ciosy – będą za to mali achillczycy, co to kirys pucują i na wojnę latają, bo wierzą, że tam gloria i laurów wieńce. Nie będzie tu Orfejów, co muzyką zmiłowania boskiego upraszali, a łaski dostawali – będą za to mali orfejczyki szukający na co dzień w muzyce pocieszenia, której struny szarpiały artyleryjskie organy. Nie będzie tu Prometejów niosących ogień ludziom – będą za to mali prometejczycy, co to ogień gwerami sieją na zgubę wszystkim. Nie będzie tu Tezejów, co w labirynty po sznurku chadzali po głowy Minotaurów – będą za to mali tężeje, co w labiryntach myśli gubią się, sznurki im się plączą i których głowy Minotaury siekają jak kapustę. Nie, drodzy moi, bohaterów żadnych tu nie będzie oprócz małych bohaterów, co to każdego dnia się wadzą z bożkami o duszę swoją i walczą z młynami diabelskimi. Uwierzcie mi, dzieła ich większe są od wszystkich czynów heraklejskich.

Krótko mówiąc, Prawdę wam powiem, więc nie nadwerężajcie umysłów, które wodzą na manowce, nie interpretujcie po swojemu, bo to robota rabinów, tylko serca otwórzta i nie bójta się wierzyć. Po drodze będę musiał wiele postaci pochować, niektóre z nich zginą śmiercią paskudną, większość niestusznie, ale mimo to obiecuję wam szczęśliwe zakończenie. Wrzucicie zatem grosz do sakwy i słuchajta – zanim Niemcy-się-wściekną – opowiem wam co nieco i to po kolei – chociaż to dzisiaj niemodnie. Na chwilę zostawmy Jezuchrysta samego w piwnicznych głębinach. Pomożemy mu ułożyć składną opowieść z porozbijanych, powidlanych wspomnień, ale w swoim czasie. A tymczasem zaczniemy od początku.

Działo się to pewnego razu w pewnym miejscu. No ale że współcześni, to i spacja, i tempora muszą znać, bo tacy pogubieni są, powiem ja wam dokładniej:

Działo się to jeszcze przed Wielką Wojną na styku Imperium Rosyjskiego, Królestwa Polskiego i Cesarstwa. Ani to był Zachód, ani Wschód, tylko pogranicze takie – miejsce zamieszkałe przez półludzi, półduchy; ni to anioły, ni to demony, a może właśnie i to, i to. W tymże to miejscu środkowym, w którym kryły się licha i leśne echa, żyły sobie Lipiaki w małej wsi zwanej Lipami Dziadowskimi. Jej historia sięgała głęboko w przeszłość, a tę pamiętali jeno najstarsze prozalne dziadki.

A oni jakoś tak gadali popod kościołem:

Było sobie trzech braci: Lech, Czech i Rus. Czech dosiadał radosnej klaczy biało umaszczonej, która stąpała lekko po trawie, tak że nawet źdźbło się pod nią nie ugięło. Z oczu jej dobrze patrzyła, a piana zacnego piwa lała się jej z pyska. Pan jej był wyszczerkanym elfem, niewystawionej żywości, ino marnej trzeźwości. Jego towarzysze to: wierna lutnia, dziurawe kieszenie i Bóg, w którego nie wierzył, choć się z nim przekomarzał nieustannie. Szczupły Czech z piwnym brzuszkiem, szczerbatym uśmiechem i suto zakrapianym wqsem wszystkim był bratem, jego żarty powtarzały sobie potem ptaki, dopóty Rus nie krzykał na nich:

– Закройте пасть!

boć on żartów nie lubił. Jego ponure oblicze dwoje oczu rozświetlało jak żagwie płonące. A z nich dusza wyzierała – nie wiedzieć tylko, czy od boskiej światłości, czy z czeluści piekielnych. Przepastna to była bowiem natura, przepastna jak stępy, Zakaukazie czy Sybir. Wiedział on dobrze, że na pustkowiach diabli przemieszkują, z niejednym rozmawiał nocami, z niejednym się wadził. Dlatego tak często wzdychał i szeptał pod wqsem bujnym:

– Господи Помилуй.

Rus pędził zawsze przodem na swej czarnej klaczy, waląc podkowami jak żelaznym młotem i tnąc powietrze rzeniem niczym sierp. W przeciwieństwie do wierchowca jednak jeździec jego zdawał się nieruchomy, spiżowy, jakby nieobecny. Zawieszony między brutalną jawą rzeczywistości i snem o innym świecie, czy to w niebie, czy to na ziemi. Gorzałka tylko sprawiała, że dusza i umysł wracały z dalekich ekskursji i na chwilę oddawały pola zwykłej zabawie. Rozmieniał wtedy miłość na drobne, Matkę Boską zamieniał na dziwki, ale nigdy nie tracił impetu, bo Rus zarówno wzdychał głęboko, jak i pierdział szeroko. Czy modlił się w cerkwi, czy uganiał za spódnicami, czy też łby tatarskie siepał – robił to z kremlowskim rozmachem, do utraty tchu.

A kiedy trzeźwiał mu czambuł, skrywał się znów w samotność i melancholię swojej liry korbowej, której trompetowa struna przypominała mu o wieczności, co to trwa wbrew czasowi, i prawdzie, co to trwa wbrew złudnym melodiom. Język wilków i niedźwiedzi nie był mu obcy, ale z ludzkim radził sobie gorzej, więc chętniej przemawiał pięścią.

A na rękę siłował się z nim zawsze Mały Rycerz z wqsikiem zwany Lechem – człek podłej postury, lecz wielkiej fantazji. Dosiadał czarującego rumaka o złotej grzywie i rzeźbie ciemnomarmurowej. Nigdy nie cofał go przed rwącą rzeką, ale przydawał

jeszcze ostrogi, co by sobie nikt nie myślał, bo i sam też rzadko myślał, wąsa podkręcał, szablą machał. Nosem wiecznie w chmurach dłuwał, w niebo zerkał, Bogu oczko puszczał. Z siodła schodził rzadko, nawet do gospody zachodził konno, z wysokości grzbietu chwycił kufel, wychylał go duszkiem i bekał głośno na chwałę Pańską. Lejce trzymał mocno, dłonie jego trzęsły się z podekscytowania. Zawsze gotów był pierwszy narazić się na niebezpieczeństwo, byleby w jakimś szczytnym celu: w imię Boga, króla, wolności czy za garść srebrników. Tak jak Czech, cenił sobie dobre towarzystwo i mocną gorzałkę; tak jak Rus, zdolny był zarówno do czynów szlachetnych, jak i do najgorszych podłości. On sam traktował swych braci z czułą wyższością. Do Czecha odnosił się jak do swego minstrela, przydatnego trefnisia; do Rusa z kolei jak do nieokrzesanego gbura, któremu brakuje taktu i ogłady.

Był z nimi jeszcze jeden gagatek, który jechał za nimi na mule kosmatym objuczonym szpargałami trzech braci. Wołano go Głupim Jaśkiem, bo w głowie miał pstro, z ptaszkami ćwierkał, kije w mrowiska wtykał, a muła po tyłku klepał. Popędzać go musieli bracia nieustannie i odciągają od strumyków, w których przeglądał się z gębą rozdziawioną. Raz mu Czech zawiesił muchę na kijku przed nosem, żeby szedł do przodu i nie opóźniał pochodu, bo, jak wiadomo, opowieść poganiała braci, by spełnili swą dziejową misję. Kiedy dotarli wreszcie do prastarej lipy, postanowili zejść sobie z oczu. Lech z werwą objął Czecha i ucałował go rzewnie, kiedy podszedł do Rusa, ten wyciągnął szybko rękę, żeby wywinąć się od pocałunków. Mały Rycerz podkręcił tylko wąsa, podał dłoń i życzył bratu szerokiej drogi, a potem popędził za orłem, by ten wskazał mu miejsce na lechicką stolicę. Czech puścił oczko Rusowi, klepnął go po plecach i wskoczył na konia, ale że mu z wąsa piwo ściekło, to i spadł po drugiej stronie. Lech roześmiał się głośno, zawrócił i posadził go z powrotem na klacz. Potem popędził za orłem, który na nikogo nie czekał, a Czech ruszył za krecikiem, który w ziemi rył. Rus tymczasem westchnął głęboko, zaśpiewał basem:

По диким степям Забайкалья,  
Где золото роют в горах,  
Бродяга, судьбу проклиная,  
Тащился с сумой на плечах.

Spiął konia i stępem ruszył za sokołem, który kołował w przestworzach.

Wszyscy zapomnieli jednak o Głupim Jaśku, który z muła zeskoczył, porzucając toboły, i rzucił się na trawę, w której zainteresował go niezmiernie żuczek gnojarek, który wytrwale toczył swój los gówniany. I kiedy to Lech znalazł orle gniazdo na nizinach i założył swoje miasto; i kiedy Rus przeganiał koczowników, kreśląc granice Wielkiej Rusi; i kiedy Czech jako Praotec Čech wdrapał się na Říp i stanął na kopcu kreta, Głupi Jasiu, ryjąc nosem w ziemi, szedł krok w krok za żuczkiem gnojarkiem i zataczał coraz szersze koła wokół lipy. Minął dzień, a za nim noc. Wczesnym rankiem podniósł Jasiu łepetynę i ujrzał ziemię użyźnioną żuczkową gnojówką, przeoraną swoim imponującym nochalem. Tak mu się to spodobało, że przyklasnął, zdźbło trawy zerwał i zagrał melodyję. A ziemia wtedy tak urodzajna była, tak płodna, a jej nogi tak rozwarte szeroko,

że wystarczyło ją poprosić, ażeby plon wydała. Głupi Jasio grał sobie więc, a zboża rosły i kiwały się do jego muzyki. A niosła ona daleko i zesłi się ludzie zewsząd, by obaczyć, kto tak pięknie pogrywa. Zobaczyli Głupiego Jasia pod prastarą Lipą diabło dorodną, rozłożystą, co sięgała do samiuśkiego nieba, i złote morze. A zwierzyny i ostrężyny tyła wokół, że ręce załamali, bo ktoś to będzie musiał upolować i pozbierać. W tej to krainie, do wtóru Jasieńkowej melodii, założyli osadę. Żyto i pszenica rosły tu obficie, a kłosa aż do ziemi łodygę porastały, więc lipiaki na siedząco żęli.

Wszystkiego było wówczas w bród. Sporysze przynosiły dobrobyt, obrastali pola podwójnymi rzepami, potrójnymi burakami i innymi pomnożonymi roślinami. Te omijano, by nie wyrwać czasem z ziemi Sporysza i nie narazić się na jego niełaskę. Ludzie im ścinali włosy i siali z nich złote jabłka. Radunice biegały po polach i przyskały mlekiem ze swych obfitych piersi, zraszając nim rolę, uprawy, łąki i pastwiska. Dlatego też las, który rósł w okolicach Lipy, tak był potężnymi drzewami porośnięty. Chlewniki tymczasem łążyły po zagrodach, pomagając kurom jaja znosić, krowom rodzić bliźnięta, a maciorom po kilkadziesiąt warchlaków. Bezpłodne niewiasty chadzały do obory, by obcować ze Skotnikami, żeby w ciężę zająć. Tymczasem Plunki znosiły gospodarzom wielkie bogactwa, futra, naszyjniki, z reguły kosztem sąsiadów. Kłobuki pod postacią węzowych kogutów pilnowały wstępu do zagrody, odganiając obcych, złodziei, lisy, wrony, sroki i złe uroki. Oczywiście, wszystko to akurat czcze bajanie, ale ludzie tak mają, że sobie przeszłość poślaczają, co by ponarzekać na teraźniejszość.

Żeby obfitość plonów sobie zapewnić, w lipie prastarej lipiaki dłutem wystrugali swoje bogi – cztery postacie zwrócone do się twarzami, co we cztery strony świata wypinali swoje cztery litery. Przewali je Światoniewidem i czciąc otoczyli. A kto za Światoniewidową czteroliterą w jedną stronę spojrział, tam stępy szerokie obaczył, po których tęsknica jakaś niosła taka, że człek zaraz w zadumę wpadał a śpiewać chciał o tym, co mu w duszy siedzi<sup>2</sup>. A pospołu z melancholią, pragnienie wiało poprzez suchego przestwór oceanu. A wołało coś tam, a krzyczało i do siebie gnało. Człek nie wiedział, czy to woła inny ktoś, czy to tylko wołanie samo, i przedierał się przez bodiaki a ciemne burzany. Dlatego też lipiaki z rzadka tam chodziły albo wcale, boć któren tam zaszedł, napotykał obiluchów, a wtedy już jako ten odmieniec wracał, do chochoła bardziej podobny niżli człeka rozumnego.

A kto zwrócił twarz w inszą stronę, za Światoniewida rzycię patrzył na góry nieprzebyte, co grzbietem ostrym jako ten kozik żercowy prężyły się a srożyły, czekając jeno na śmiazków, wyzwanie im rzucając. Jeno kozice tam perć wydeptywały, gdyż żaden się tam lipiak przedzierać nie próbował. Bo choć górskie szlaki miłowali, to jednak taką pokorą przejmowały ich krajobrazy, taką małością ludzką serca napawały, że człek bał się zapuszczać gdzie dalej niżli w hale zielone odpocznienia szukać, a z trawą rozmówienia. Ale to też z rzadka, boć wilce tam przemieszkiwały złe, że to ani pogłaskać, ani kłów im rwać.

---

<sup>2</sup> A zwykle siedziały mu tam same kosmatości. A to piersi kobiece niewytęsknione, a to uda kobiece niewypieszczone.

A kto zwrócił łeb w jeszcze inszą stronę, gdzie Światoniewid zadek wypinał, patrzył na ziemię podmokłą. Tam się wszystkie złe siły w gęstwą zbiły, a ludziom zbląkanym na złość czyniły krzywdy wszelakie. A to choroby jakieś straszliwe, a to mór bolesny a niekrótki. Wąpierz tamtędy pielgrzymki swe piekielne wiodły, a mamuny parszywe z much końskich warzę pichciły, nęcąc nierozważnych na ich zgubę. Król Bagien tam przemieszkował, a kto zacz, tego nie znał nikt. Wiedziano tylko, że był i rządził, a szukać go nie ma co, bo jeno śmierć znaleźć można. Dlatego też lipiaki z rzadka tam chodziły albo wcale, bo choć ciekawe, to jednak niegłupie (niektóre).

A kto popatrzał za czwartą czteroliterą Światoniewida, tam, gdzie słońce śpił morzył, gdzie Swarozyc oczy mrużył, ujrzął pola nieprzebyte. A taka tam równość była, że jak kto okiem sięgnął, tak płaskość li tylko i płaskość po nieba zaczątek. I tam lipiaki też z rzadka chodziły albo wcale, bo sobie myśleli, że jak we trzy świata strony nie łążą, to i w czwartą nie będą. Ogólnie lipiaki więc nigdzie nie chodzili, dobrze im było tam, gdzie byli, a na świat się wypinali.

Świat jednak nie wypiął się na nich. Z tej właśnie strony, gdzie słońce do zagrody się chowało, przybyli do Lipiec biskupi rzymskiej wiary. Z drugiej zaś, od stepów, inni biskupi z Metodym na czele. Jedni nawracali miejscowych na Zachód, drudzy na Wschód, a Światoniewid wypinał się na to wszystko, a lipiaki kręcili głowami i dojść nie mogli o co, po co i jak to. Wreszcie chwycili za kamienie i przepędzili przybyszów. Wkrótce jednak doszły ich słuchy budzące trwogę, że stwory jakieś zaczęły nawiedzać słowiańskie ziemie. A stwory to były nie byle jakie: zakute w żelazo, bezduszne i żądne krwi. Zwano ich Niemcami, bo mowy ludzkiej nie znali, tylko rzęzili, charkali, jakby im co w gardle stało.

Kiedy więc przyszły wojaki lechickie, niosąc miecz, a w ślad za nimi biskupi, niosąc Pismo – lipiaki przyjęli ich z ulgą. Gruchnęła wieść, że plemię Lecha zbratało się na nowo z pokoleniem Czecha i cześć oddało Bogu Jedynemu. Tak też biskupi tłumaczyli, jakie tam zmiany zaszły w boskich sferach, a wojaki szczękając żelazem, potwierdzali. Żercy i wotchowicie próbowali protestować, ale wskórali tylko tyle, że musieli zwiąć swoje bożki krwawe i wróżby. Miejsca, w których składano ofiary, zasypano, Bóg nowy nie pożądał bowiem krwi, lecz miłości, co dziwiło i krowy, i kozy, i ludzi. Oto świat się cały otworzył przed nimi, świat Nowego Przymierza, ich woła wyzwoliła się spod jarzma starych idoli, umysły ich pchnęły czas naprzód, bo ten choć wciąż zataczał kółka, to jednak rwał do ostatecznego końca. Nie trzeba już było z demonami się przekomarzać i targować, bo Chrystusowa ofiara wyłamała im zęby. Stara Wiara poszła w las w ślad za wiedźmami, odeszły stworze i zdusze, pochowały się w borach, rzekach, zabobonach, wygrażając pięściami i czekając Czasów Złych.

Stare bogi również przegnano. Swarozycowi wytrącono z ręki słoneczną tarczę, Pogoda przeszła na emeryturę, a Rożdżana ustąpiła przed sochami. Wszyscy oni uciekli ze świadomości ludzkiej w głębokie odmęty wyobraźni, wychodząc czasem na powierzchnię w chwilach strachu i bezradności. Ich miejsce zajęli święty Eliasz od pogody, święty Lzydor od zasiewów, a władzę nad urodzajem objęła sama Boska Matka, która uratowała lipiaków przed gniewem bożym.



A to było tak:

Lipiakom tak ziemia hojnie obradzała, że już im się nawet nie chciało na siedząco żąć – tak się rozleniwili, że na leżącó ścinali, a wypychali sobie ziarna do gęby i melli. Panjezus cięty na to chwycił za kosę i zaczął kłosa strugać tak, że tylko łodygi zostawały. Ale Boska Jego Mać ulitowała się i kiedy on ciął, ona za czubek trzymała, czym lipiaków od głodu uratowała. Stąd zboża wszystkie takie łodygi mają długie. Ale nie tylko lenistwo było zmorą miejscowych. Również zachłanność. Kiedy biskupi ustawili bowiem lipiaków w kolejce do świętej rzeki, gdzie ich chrzczono, i kiedy białe szaty im wręczyli na znak Nowego Przymierza – nie starczyło dla wszystkich, bo ludzie takie gorliwe były, że stawały po kilka razy.

Świanoniewidowi w tym czasie rzemieślnicy tyłki obrobili dłutem i starego bożka wnet zastąpił Chrystus rozpięty na gałęziach z bokiem przebitym. A przy Wielkim Poście, kiedy kto ucałował szczerze rany Chrysta, ten wina mógł się napić z jego boku. Jeśli zaś nieuczciwy wargi swe przybliżył, krew go zalewała.

Minęły wieki, historia przetaczała się przez Lipy niemiłosiernie. Kogo tam u nich nie było! A to Lechici szli na Ruś, a to Ruś na Lechitów; a to Węgrzy na Lechitów, a to znowu Lechici na Węgrów; raz z Cesarstwem na Czechów, a raz z Czechami na Cesarstwo; a to Lechici z Krzyżakami szli na Mongołów, a to Krzyżacy szli na Lechitów; a to Tatarzy na Lechitów, a to Lechici na Tatarów; a to Lechici z Kozakami na Krymskich, a to Krymscy z Kozakami na Lechitów, potem to już nawet i Szwedzi szli, Bóg wie gdzie, i Francuzi... Cały świat się do Lip zlatał, a wszystkich przy tym trzeba było wyżywić, napoić, dziewczętami ugłaskać. Lipiaki same już nie wiedziały kto z kim i o co, jedno tylko wiedzieli na pewno: dużo się na wojnie żre, pije i głaska z dziewczętami. Potem się okazało, że ich ziemie należą do kajzera, więc się urzędnicy pojawili pruscy i zaczęli uczyć języka stworów. Potem się okazało, że ich ziemie już nie do kajzera, a do cara należą, więc się urzędnicy pojawili ruscy i zaczęli cyrylicy uczyć. Potem się okazało, że ich ziemie już ani do kajzera, ani do cara, jeno do cesarza, więc się urzędnicy pojawili austriaccy i zaczęli znowu języka stworów uczyć. Także się już lipiakom wszystkie te języki poplątały i wolały po swojemu gadać.

Tak też sobie dotrwali do XX wieku pod wąsem cesarza Franza Józefa.

Oto więc są wasze spacja i tempora. A że w gardle mi zaschło, doleście horitki, bo czas wam *personae* przedstawić, zanim-się-Niemcy-wściekną.

Był sobie tam w Lipach Dziadowskich dworek podupadły Ryglówką zwany. W nim to zamieszkał pewien doktor prawa Lucjan zwany Ołcem i Maria – wiejska baba – zwana Macią. On wyłkładał na uniwersytecie, ona świeczki paliła w kościele. On literaturę czytał, ona krowy doiła. On wąs podkręcał na gumę arabską, ona chustę wiązała na supeł. Taki to był mezalians niesłychany, że i cała wieś się zleciała na wesele, kiedy to z katedry lwowskiej przyjechali dorożką, i pół miasta się zjechało, bo wiadomo było, że warzy i gorzałki nikt załować nie będzie. Znak to był oczywisty nowych czasów, kiedy to wszystkie klasy społeczne pod jedną strzechą mogli sobie pyska dać. Ksiądz Pyrka, zwany Kartoflem (nie wiedzieć czemu), państwu młodym błogosławił, rabin udzielił im kredytu, pop krzyżem przeżegnał, a biskup unicki krzyknął: „Amen!”. Zdawać by się mogło,

że koniec historii nastąpił, zgoda zapanowała i mariaż taki wieszczł wiek XX erą pokoju i miłości.

Jak to tam z tym stuleciem było, wszyscy dobrze wiemy.

W każdym razie, Państwo Młodzi zamieszkali w Ryglówce, a z nimi razem ojciec i matka gospodarza. Rodzice Panny Młodej żyli sobie nieopodal w chałupie i tak się po wsi obnosili córy zamążpójściem, że im mleko zsiadło. Całe Lipy szanowały doktora, bo to i teatr ludowy im założył, i Koło Rolnicze, gdzie nawozy im prezentował z pruskiego zaboru przywiezione, i szkoły dzieciom zakładał. Kościół zawsze hojnie wspierał, czym zapewnił sobie ławkę kolatorską pierwszorzędną, pod samym ołtarzem dla całej rodziny. We dworku zamontował raz prysznic z baniakiem na deszczówkę, więc rodzina nie mogła wymówić się od higieny, ale i Gustaw nie mógł sobie odmówić żartów, do których okazję baniak ów stwarzał. Powiadają też, że Lucjan zabiegał w starostwie powiatowym o elektryfikację wsi, ale urzędnik jedynie zamrugnął oczami nad świeczką i nic nie powiedział. Wpadł też na pomysł budowy publicznych stawojek i to na długo, zanim ustawę taką wprowadził w życie sejm niepodległej już Rzeczypospolitej.

Ani wójt, ani sołtys nie rozumieli jego wizji, ale uznali, że doktor praw taki mądry, to wie, co robi, więc mu trzymali deski, kiedy wbijał gwoździe. Po tygodniu dokonano wielkiego otwarcia, przecięto wstęgę, ksiądz pokropił, pop pokropił, biskup unicki skorzystał. Niestety, lipiaki dalej robili za stodołą, a w sławojkach na półkach suszyli sery. Byłoby tak pewnie dalej, gdyby nie to, że parobki nabiał kradli. Nie zraziło to jednak Lucjana, który z błyskiem w oku już kreślił kolejne projekty, tym razem patrzące w przyszłość, a nie w – za przeproszeniem – rzyć. Oto bowiem na jego biurku pojawiły się rysunki szklanych domów dla całej rodziny. Stało się to pasją jego życia i gdyby go Maria nie pociągła do ojcowskich obowiązków, nigdy by na świat nie przyszedł Gustaw i Tosia. Gdyby nie żona, byłby zapewne Lucjan również przepomniał o gospodarstwie, ale ona nie dała mu zapomnieć.

Wkrótce więc i gospodarstwo stało się jego pasją. Oczami wyobraźni widział wieś przyszłości pełną kombajnów samobieżnych, plonów dwunastokrotnych, automatycznych gorzelni, futurystycznych krów dających i mleko, i śmietanę, i kawkę... Regularnie sprowadzał prasę z pruskiego zaboru i wprowadzał w życie zachodnie nowinki. Organizował też kółka gospodarskie, żeby przekonać chłopów do inwestycji. Unikał jak ognia słowa „modernizacja”, na którego dźwięk lipiakom puszczały wodze, a każde spotkania rozpoczynał ksiądz Pyrka zwany Kartoflem (nie wiedzieć czemu) krótką modlitwą, egzorcyzmem odpędzającym nowoczesność i kropidłem przepędzającym biedę. Ale nie tylko ludzi Lucjan próbował namówić, żeby się wzięli zmodernizowali, i nie tylko chłopcy patrzyli na jego próby z ukosa.

Jego siwki również stawiały opór. Razu pewnego stary zapiął je do pługa parowego własnej konstrukcji. Parobki skubały się w głowę, po co to tak syczy z dupy, a konie tylko machnęły ogonem i ani myślały ruszyć.

– A wy Turki jedne! – pieklił się, ale wreszcie dał za wygraną i sam założył pług na plecy.

Parobki roześmiały się i zażyły tabaki.

– Jaśnie panie, bruzda krzywa! – krzyknął jeden z nich, ale doktor nie słyszał.

Gustaw tymczasem z kciukiem w gębie patrzył to na pola ojesieniałe; to na Oćca, co tak zawzięcie je orał; to na wrony, które siadały na zagony, a za każdym buchnięciem pary podrywały się do lotu; to na parobków, co konie po tyłkach klepały, tabakę wciągały i oczko puszczały do malucha.

– Zostaw – krzyknęła Mać i uderzyła go po łapach, odejmując mu kciuka od ust.

Gustaw posłusznie wycierał palca o portki, kartofle chwytając oburącz (taki to niewyrostek z niego był) i wrzucał je do kosza. Zbliżał się koniec września i całe Lipy szykowały się na zimę, ale słońce jeszcze waliło niemiłosiernie. Drzewa rozłożyste rzucały cień na zorane zagony, ale z każdą godziną jakby coraz mniej się taskawe stawały. I w południe trzeba było przerwać prace, bo pola zdjęły z siebie ciemny płaszcz i w pełnym blasku, i negliżu, nagusieńkie stanęły przed anielimi. Zarządzono przerwę, parobki poszły w krzaki, pogwizdując – a Gustaw tylko wodził za nimi wzrokiem i strzygł za nimi uszami. Mać otarła z czoła pot, rozejrzała się.

– Tośka, do domu, bo cię jeszcze Południca przydusi.

Tosia upuściła kartofla i przeżegnała się.

– Matulu, nie daj mnie diablicy.

– Nie bój, głupia – odparta i zarzuciła kosz kartofli na plecy. – Stary! Chodź, bo cię Południca przydusi! – krzyknęła, ale słysząc buchającą parę, zrozumiała, że jej mąż od pługa nie odstąpi. Splunęła tylko i szepnęła: – Nowoczesny a durny! Gucio!

Ale Gucio za parobkami poszedł i uszami strzygł, łąpiąc ich melodię. Za plecami kartofle zrzucano do wozu. Śpiewały przy tym baby pieśni swoje, ale srajtek jeno gwizdów parobkowych nastuchiwał. Potknął się kilka razy, kapalusz z gruntu otrzepał, ale szedł, szedł i nadstawiał uch. Bał się jednak podejść bliżej, więc przycupnął na kamionce. Złożył usta i spróbował zagwizdać, ale z jego ust dobył się jeno świst bezgłośny.

– Szlag by to! – krzyknął w oddali Ociec, bo mu najwyraźniej skibka się rozkołebała.

A Gustaw naprężył się, zwinął usta w rulonik i zadął z całych sił, ale opluł się tylko.

– Żeby cię! – wydarł się w oddali doktor, bo mu najwyraźniej druga skibka poszła.

A Gustaw cmoknął tylko, oblizał i zagwizdał.

– O żeż ty, polu orany!

A Gustaw spuścił głowę, bo znowu nic z tego nie wyszło.

– Dzióbek, gagatku. Dzióbek i dymaj w obie strony.

A Gustaw aż się sturlał z kamionki. Stał przed nim wsparty na kosturze mocno przygarbiony dziad w onucach, czarnych hajdawerach i białej koszuli w czerwone hafty. Siwa broda mu się kiwała na wietrze między kolanami. Na plecach dźwigał lirę korbową i tobołek z psim losem. Wymacał kijem stos kamieni i siadł na nim, wzdychając, i położył instrument na kolanach. Gucio zerwał się na równe nogi, włożył kciuk do gęby i popatrzył chwilę nieufnie na dziada. Dopiero po chwili dotarło do niego, że oczy jego są puste i wklęsnięte jak obtłuczone jajka.

– Wyjmij palca z gęby, jak matka mówili, i nie bój się. Jeszcze nie raz się w życiu portkami będziesz trząść, ale teraz dzióbek zrób i zagwizdaj.

Maluch zwinął usta, wywinął na wierzch i dmuchnął, a dźwięk mu taki poszedł, że aż klasnął w ręce. Roześmiał się dziad i zakręcił korbką. Popłynęła muzyka, walnęły młoteczki, aż Guccio usta rozdziawił.

*A Boh Adama stworyw rukama  
Na obraz czołowika.  
Daw jomu żonu na im'ja Jewa  
Z-pid boka rebra joho.*

*Obicjaw jomu w rozkoszach w raju  
Tam z Jewoj prożywały.  
Tilky odnoho drewa rajs'koho  
Ne kazaw zaczypaty.*

*A Zmij złostywyj, złyj, neżastywyj  
Tak Jewu pidwożdżaje:  
„Woz'my ty, Jewo, rajs'koje drewo  
Owoczi skusztuwały”.*

*A wzięta Jewa rajs'koho drewa,  
Owoczi skusztowała...  
Prostjahta ruku, wkusyła sztuku,  
Adamowi podała.*

*Adam pryjmaje, owocz kusaje,  
Nahotu piznawaje.  
Jewa doznała, nahaja stała,  
Sama sja zastydyła.*

Tu dziad melodię urwał, uniósł głowę w niebo i z tęsknotą jakąś w ślepych oczach rzekł:

– Wyjmij palca z gęby i słuchaj: cztery podarki mam dla ciebie. Jeden już dostałeś. Idź przez życie i gwizdaj na strach, na śmierć i na smutki.

– A po co? – spytał, jak to kajtek.

– Bo czasy idą takie, że będą ci one towarzyszyć. Ale ty gwizdaj i nadzieję sobie tym wracaj.

– A po co?

– Bo inaczej strach, śmierć i smutek gwizdną na ciebie, a ty pójdziesz za nimi jak ten pies. Drugi podarek... – Wyciągnął z tobołka kłós dwunastokrotny. Gustaw mało kciuka nie połknął na jego widok. – Szukali wszytki Żytniej Baby, Ociec znalazł kłós sześciokrotny, ale ja ślepy znalazł większy. Weź.

– A po co?

– Bo czasy idą takie, że ze światem wadzić się będziesz. Ale ty kłos ten pamiętaj.

– A po co?

– Bo to pierwsze twoje zwycięstwo małe, a niewiele więcej ich w życiu zaznasz. Trzeci podarek. Słuchaj wróżby: ojcem ty będziesz swego brata. A on będzie ojcem twego ojca. Związał was Bóg losem i krwią. Zważ no, by tej krwi nie rozlać i by los was nie rozłączył.

– A po co?

– Bo czasy idą takie, że krew się poleje, a co Bóg złączył, człowiek porozdziela.

– A po co?

– Bo z pyszna się ma.

Gwizdnął Gustaw, choć niewiele z tego rozumiał, powiedział z miną wielce poważną:

– Aha.

– Czas na czwarty i najważniejszy podarek. – Włożył rękę do tobołka, ale wyjął ją szybko, jakby go coś ukąsiło. Po chwili kamyk uderzył go w kolano, trzeci w głowę.

– Hej, dziadu! Wyrwyj stąd, bo większy znajdu!

Czarne sylwetki parobków wylażyły na tło słonecznego blasku.

– Poszedł precz, ciemniegu!

– Bu jak ci cyferblat przefasonuj!

Gustaw rozpoznał głos Urka-parobka, przycisnął kłos do piersi i zaczął gwizdać nerwowo. Dziad dzwignął się z kamionki i zasłonił przed kolejnym kamieniem ciśniętym w jego stronę. Widząc, że się wycofuje, parobki ruszyli w jego stronę. Ten uciekał, kuśtykając na kosturze, a tamci podskakiwali i rzucali kamieniami.

– Pamiętaj – rzucił jeszcze matemu na pożegnanie, ale ten stał tylko ze ślepiami wlepionymi w parobków i sercem tłukącym w piersi. Gwizdał na strach nerwowo i ręce wycierał w Żytnią Babę.

Chłopcy wskoczyli na kamionkę dumni, jakby zdobyli chorągiew tatarską. Tu nabrali pocisków, aż im się z rąk sypały, i ze śmiechem rzucali nimi w dziada, który zmykał co sił, potykając się o własne nogi. A Gustaw stał jak wryty i gwizdał, gwizdał aż mu tchu brakło. Podszedł do niego parobek, twarz zrównał i słuchał, jak ten sobie tak gwizda i gwizda.

– Te, muzykant, masz ognia? – zapytał i wyciągnął zza ucha papierosa.

Gustaw wydarł się na całe gardło, cisnął Żytnią Babą w parobka i wziął nogi za pas, zatoczył koło, zawrócił, spojrzął na parobka, na skręta...

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Podniósł Żytnią Babę i drąc się wniebogłosy, pobiegł w pole.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa! Tata! Tata! Tataaaaaaa!

Ale tata nie słyszał, bo go Południca przydusiła.



– Stary, budź się, budź się! – krzyczała Mać, owijając głowę męża w wilgotne szmaty.  
– Tosia, przynieś mi tu wiadro zara.

W piwnicy, gdzie marmeladę trzymano, ogórce kiszono i inne frykasy na zimę składowano, leżał Ociec na podłodze jak połeć skwierczącego mięsa. A jak syczał, a jak parował, tak go ta Południca zgrzała.

– Po coś na polu zostawał? Po coś kapalusz zdejmował!

– Ka... kapelusz sam mi spadł... – wykrztusił Lucjan. – A pług po nim... – tu machnął ręką.

– A ja Zytnię Babę znalazłem! – zakrzyknął Gucio i wystawił kłosa na pokaz wszystkim.

– Gdzie ta Tosia? – krzyknęła Maria..

– Do rzeki go trza! – stwierdziła jedna z bab.

– Do piachu niech się chłodzi.

– A ja Zytnię Babę znalazłem – powtórzył Gucio.

– Dajta mnie weki, przyłożę mu do polików.

– Do rzeki. Kamień na szyję, żeby nie odpłynął.

– Tośka!

– A ja Zytnię Babę znalazłem!

Tosia wpadła do piwnicy z wiaderkiem na ręku.

– Jestem, matulu.

– A gdzie woda?

– Wiaderko miałam przynieść...

Wszyscy przewrócili oczami.

– Bierzta go chłopy i pod prysznic. Z baniaka polejem.

Ruszyli wszyscy hurtem, a w piwnicy jeno dzieci zostały.

– Zytnię Babę ja tego... – powiedział smutno, ale Tosia rzuciła wiaderko i wybiegła na zewnątrz.

Gucio westchnął głęboko, popatrzał na kłosa i rzucił go w kąt, a potem kucnął, nakrył się wiaderkiem, zagwizdał i zniknął. Przepadł. Został po nim jedynie nieśmiały, wygłuszony dźwięk ust w rulonik zwiniętych. Wiele lat później ta sama chochola melodia kołysała stepowe wrotycze i strącała z nieba myszołowy. Ta sama melodia od ust odjęta pozbawiała snu Jezuchrysta, który leżał pośród trupów, wmartwychleżał i rozpychał się łokciami. Ta sama chochola melodia wiele lat później budziła popłoch wśród Stepowych Odrzućców, Ukraińców, Żydów, Polaków i tamtejszych; wśród staroobrzędowców, starozakonnych, unitów i katolików; wśród żywych i martwych; wśród boginów, stepostworów, zdusz i stworzów; wśród wilków, cietrzewi i termitów. Na jej dźwięk każdy bez wyjątku marzył o tym, aby nakryć się wiaderkiem i przepaść bez śladu, wymazać się Panubogu z kajęta i zwrócić bilecik. Ale do tego jeszcze powrócimy, nie za lat wiele, ale też nie za prędko. Inaczej bowiem w opowieści czas płynie i opowieść z tego słynie.

Gustaw znikał często. Zniknięty czuł się zresztą nieustannie: kiedy siadał pod drzwiami do pokoju Oćca, w której ten skrobał plany szklanych domów, kiedy stawał w progu kuchni, w której to Mać dyrgowała służbie i pani Obrzynkowej, kiedy kładł się na ławce i patrzył, jak Tosia skubała kury, odmawiając różaniec. Nikt nigdzie nie zwracał na niego uwagi, nawet krowy czerwone, kiedy je smagał kijem i rzucał w nie kamieniami,

wierzyły jeno racicami, a łby odwracały; nawet Żuczka, którego za ogon ciągał, ziewał tylko i zasypiał, kiedy Gustaw go po ganku przesuwał. A kiedy klękał pod Chrystusem w lipie wyrzeźbionym i rączki składał i modlił się, ten nawet na niego nie spojrzał, tylko na boki gdzieś.

Wzdychał więc Gustaw głęboko i strugał sobie w lipowych gałązkach ludzików, rozstawiał ich po kątach i gwizdać uczył, żeby się nie strachali i nie smucili. Służba jednak zamiatła ich pod dywan albo wrzucała do pieca, nie zważając na protesty. Snut się więc Gustaw po dworku, na dachy włożył, pluł do przysznicego baniaka i świniom ogonki prostował. A kiedy ogarniała go nuda i przekonanie, że wszystko to na marne, że nie ma żadnej widowni i nawet Bóg nie zerka z góry, chował się do wiadra, topił się w jego ciemnościach jak koty w beczce.

A pod wiaderkiem słyszał głos dziada: „Ojcem ty będziesz brata swego” – tak mu się to tłukło pod kopułą. Razu pewnego schował się w kuchni pod stołem i w obierkach gęby strugał kozikiem. Obierkowa gawiedź patrzyła mu na ręce i podziwiała jego dzieło, a on tylko nosem kręcił, cmokał, czoło marszczył jak Dziadyk, kiedy rzeźbił swoich Jezusów Niefrasobliwych, i powtarzał za nim:

– Bo ja wim.

Tak to sobie strugał głupków, po głowie się drapał, kiedy do izby z łoskotem lubieżnym wpadła pani Obrzynkowa z zadartą sukienką, a w ślad za nią Urko parobek.

– Daj buzi!

– A nie będę dawala! – chichotał babsztyl.

– Jak nie dasz, to wezmę!

– To bierz!

I tak się ganił, a Gustaw wskoczył pod wiaderko z gębami obierkowymi i kazał im trzymać się na kłódkę. Tymczasem, berek lubieżny kręcił się wokół stołu, aż wreszcie Urko babę ułapił, a ona się wiła w objęciach jak węgorz niewypatroszony. Uniósł ją ledwo i pchnął na stół, a zasapał się przy tym tak, że chwilę musiał odpocząć. Obrzynkowa tymczasem machała nóżkami jak dzierlatka, klepała się po piersiach i trzęsła jak mors, który wylał na krę.

A Gustaw uniósł wiaderko i patrzył na to wszystko z oczami rozwartymi, a gębami rozdziawionymi.

– No gdzieś ty, rycerzyku? – dopytywała zniecierpliwiona Obrzynkowa.

– Tutej, tutaj, zaraz – wysapał i otarł pot z czoła. – Na czym to my...? A, tak.

Tu z rozmachem Kmicica chwycił za spódnicę i zarzucił babie na głowę, aż pisnęła.

A Gustaw uniósł wiaderko i patrzył na to wszystko z oczami rozwartymi, gębami rozdziawionymi, a kciuk w niemym zdumieniu wędrował powoli do gęby.

Obrzynkowe nogi jak dwa wieloryby wylądowały na Urkowych ramionach, aż go w podłogę wbiło.

– Co będziemy robić, rycerzyku?

– Dzieci, moja droga, dzieci. – Spodnie poluzował. – Tylko daj mnie chwilkę...

Obrzykowska zachichotała, poprawiła się na stoliczku i zadarła spódniczkę jeszcze bardziej.

A Gustaw patrzył na to wszystko, aż oczy zamknął i zagwizdał nerwowo.

Obrzykowska wierzgnęła jak dorsz na rozgrzanym piasku, pchnęła swojego rycerza, któremu i spodnie, i godność spadły na podłogę. Po chwili on również leżał na podłodze, podczas gdy Obrzykowska przetoczyła się po stole i spadła z drugiej strony. A Gustaw nakrył się wiaderkiem, gwizdał usilnie i oczy przywierał; serce mu się tłukło w piersi, ale wiedział, że nic mu nie grozi, bo zniknięty. Jedynie gęby obierkowe wiedziały, co się święci.

– Muzykant! – krzyknął Urko. – Dziecka robim, a dziecka tu.

Gustaw otworzył oczy ze zdumienia i zobaczył przed sobą ogorzałą twarz parobka. Dechu mu w piersiach zaparło, a gwizd mu zmilkł na ustach.

Urko wyciągnął dłoń jak bochen chleba wielką, popękaną. Całe pola na niej były zaorane, obsiane, a wyrastać z nich poczęła fascynacja, która do końca życia kazała mu patrzeć ludziom na ręce i wspominać te chamskie, chropowate, kamieniste zagony, wzgórza odcisków i melioracyjne żyty. Spozierał Gustaw na tę rękę i świata poza nią nie widział, poczuł jej dotyk na głowie. I stał się widzialny. Bezbronny. Parobek wrócił go światu, a potem wytargał go za ucho.

– A huncwoci jeden gagatkowali! Byndziesz ty podglundał?

– Nie będę! Puść!

– Na Boga! – Pani Obrzykowska obciągnęła spódnicę. – Toż to syn jaśnie pana, daj mu pokój!

– Dam, na prośbi dam. – Puścił Gucia i pogroził mu palcem. – Dam ci rady, gagatku.

Mały gwizdnął i spuścił głowę, trzymając się za ucho.

– Nigdy nie daj si złapać.

– Za ucho?

– Za nic w świeci.

Tu Urko mrugnął i uśmiechnął się podejrzenie. Jedną dłonią poklepał Obrzykowską po udach, drugą położył matemu na ramieniu.

– A toś ty taki ciekawy, jak się dziecka robi?

– Urko, coś ty! – krzyknęła kuchareczka i aż się zarumieniła.

– Cichaj, babu. Matemu trza lekcji udzielić, bo we dworze wszystkie taki wstydlivi.

Nu kozak, skąd si tam dzieci biorą? Gadaj no.

Gustaw zasapał się z nerwów cały i wytężył mózdzek.

– Oćce kazali raz, że to bociany przynoszą i przez komin wrzucają.

– Oćce źle kazali.

– A, a Matula znowu gadała, że to diabli przynoszą.

– Diabli?

– Ano. Tak Tosi raz mówiła: „Diabli mi ciebie nadali”.

– Ha! Też furda!

– A, a, a Jagna Wójcikowa mówiła, że to z jedzenia się robią, z picia niektórego...

Z kapusty na przykład. Z głąba.



– Sam jesteś głębi. Z kapuścich tyż si nie biorą. – A tu się akurat Urko-parobek mylił, ale nie sprzedajmy faktów.

– Abo jeszcze mówił Kuba, że to mamusia musi dużo jeść aż się jej brzuch zrobi taki duży. Nu tylko nie można tłusto, bo wtedy się popsuje rączka.

– Nie... co? Jaka rączka? Ten huncwot wi więcej o robieniu dziecków niż ja.

– Abo, abo, że tatuś daje mamusi ziarenko i ona je hoduje w słoiczku na wacie. Abo, abo – Gucio się rozkręcał – abo jeszcze słyszałem jak Borynowa gadali: „Ty nie gadaj tyła, bo jeszcze dziecka z tego będą”. A Boryna się tak rozgadał, umyślnie chyba, że dwa dostał na Święta.

– Ha! Boryna dużo gada, zgoda, ale nie zawsze z tego dziecka.

– Abo, abo... ale to parobki gadali.

– Mów, co gadali.

– Że pan i pani idą na łękę, biorą się za ręce i dają sobie buzi. A jak te buzi robi tata z mamą, to z tego jest dziecko. Ale to też zależy. Bo jak mama pije wódkę, a tata nie, to wtedy dziecko będzie nieżywe. A jak mama jest trzeźwa, a tata chodzi ciągle pijany, to wtedy dziecko będzie żywe. Tak mówili.

– A ty? A ty skąd się wzięłeś?

– Ja się, proszę pana, urwałem z choinki. Tak mi Ołce powiedzieli.

Urko zaśmiał się zdrowo i poklepał malca po głowie, Obrzynkowa zachichotała, ale po chwili mina jej zrzedła, kiedy parobek pociągnął ją za nogi i zarzucił spódnice na głowę.

– Patrzaj, gagatku, skąd się dziecka biorą.

– Urko, co ty?

A on jeszcze bardziej spódnice zadarł, nogi jak dwa balerony pocięte żyłakami rozchylił, a palcem pokazał:

– Tu. Widzisz? Stąd dziecka się biorą. I stąd ty też się wzięłeś.

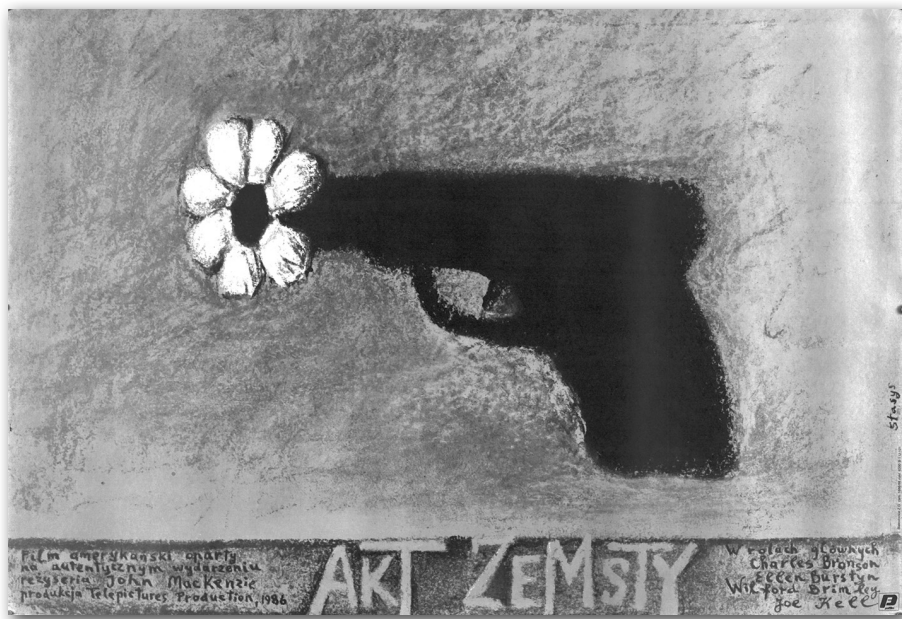
Gucio zapowietrzył się i splotnął rumieńcem, aż mu brwi poczerniały. Urko wyciągnął zapałkę i przyłożył mu ją do czoła. Zasyczał płomień. A mały patrzył na tę sztukę magiczną. Parobek wyciągnął skręta, odpalił go od zapałki, a dym poszedł mu między zębami. Jego pociągła twarz pokryta osetnicami, oczy przekrwione i uszy jak dwa spodki przybrudzone poranną kawą przywiodła małemu na myśl wawelskiego smoka, co pożerał niewinność i wypluwał ości. Ale tym razem Gustaw nie gwizdał z nerwów, usta wszak zwinął w rulonik, ale ze zdumienia, nie ze strachu. Urko zaciągnął się, wycisnął dym między zęby i spytał:

– Masz ognia?

Gustaw czknął, odkaszlnął, a dym z niego uszedł. Roześmiała się kucharka z parobkiem, a Gustaw rzeził jak ołcowski parowy pług, charknął, krztusił się, aż wreszcie wziął nogi za pas i poszedł sobie z dymkiem na dwór, wybiegł na dziedziniec, sapiąc, chuchając, podskoczył kilka razy, wbiegł do stajni, konie poruszyły się niespokojnie i wbiły pod ścianę, a Gustaw rzeził, rzeził jak stary silnik, puszczając półgębkiem czarne obłoczki,

aż wreszcie zionął ogniem jak należy i przypalił ogon kasztance. Taki to był czwarty podarek, który dostał nie od dziada, lecz od parobka.

Zdarł z siebie koszulina, popatrzał na pierś czerwoną. Żar brzuchał mu z rozgrzanego bucha. Tosia wyszła z chlewiku, upuściła wiaderko, przeżegnała się, bo wiedziała już, że brata jej diabli wzięli.



Stasys Eidrigėvičius, *Plakat Akt zemsty*, 66,5x98,5 cm, 1986